

Marta Ławniczek
„Obiecuję Ci”

Żałuj, że tego nie widziałeś, mówię ci. Kiedy spoglądałam na nią przez kuchenne okno, siedziała na zielonej trawie tak bardzo spokojnie. Łąka znajdująca się za domem należała do niej. Z daleka wyglądała jak śliczna rusalka. Była na podwórku sama i mogła tam robić co tylko jej się żywnie podobało. Ona chciała tylko siedzieć. Przyznaję, wyglądała bardzo wdzięcznie jak na swój wiek. O ile o drobnej sześciolatce można tak powiedzieć. Nasza córka swoje nieduże rączki miała ułożone na kolankach, a plecy wyprostowane bardziej niż zwykle. Przypominała mi, niech się zastanowię, królową Marię, a była tak młoda! Jej jaśniutkie blond włosy swobodnie unosił wiatr. Akurat nie miała zaplecionych warkoczy. Promienie słoneczne odbijały się od lśniących pasemek, a to mi przypominało migoczące wieczorami świetliki. Czasem zdarza mi się nazywać ją Migotką i myślę, że brzmi to bardzo bajecznie. Och! Nie o tym miałam ci dziś mówić! Co robiła nasza córka w niedzielę? Otóż, obserwowała niebo. Niby nic specjalnego, ale niech cię to nie zwiedzie. Podejrzewam, że znowu łąpała biedronki. Ostatnio zamknęła dwie w szklanym słoiku po konfiturach malinowych. Oznajmiła że to bliźniaczki - Mary i Louise - i że od teraz mieszkają z nami. W zeszłym tygodniu stwierdziła, że wypuści biedaczki na wolność (oczywiście po moich namowach). Jak zapowiedziała, tak zrobiła. Nakropkowane siostry poleciały w stronę lasu, a Juliet oświadczyła, że od tej chwili jest doroślejsza. "Nie chcę więzić więcej zwierzątek, mamó" - tak mi powiedziało nasze maleństwo.

Patrzyłam na nią przez to okno i nie mogłam nasycić wzroku pięknem widoku. Biel letniej sukienki stanowiła kontrast w zestawieniu zarówno do tych połaci zieleni jak i do różnokolorowych kwiatów. Rozkoszny widok. Uwierz mi.

- Julie! - zawołałam w końcu, kiedy wszystko było gotowe, nie ruszając się z przed chwilą zajętego miejsca w bujanym fotelu.

Nie minęło dużo czasu, a blond istotka stała już przy mnie na tarasie.

- Tak mamusiu? - zapytała cichutko. Jej słodki głosik i ćwierkanie ptaków rozbrzmiewały w moich uszach krótką chwilę. Julie położyła swoje aksamitne, młode, niespracowane łapinki na mojej dłoni. Spojrzała na mnie swoimi wielkimi, błękitnymi oczętami. Wachlarze jej rzęs rzucały długie cienie na muśnięte promieniami słońca policzki.

- Jak się czujesz Migotko? - wypuściłam z ust. Uśmiechnęłam się do naszej gwiazdeczki. Ciepło i serdecznie, jak to chyba wszystkie mamy na tym świecie mają w zwyczaju. Nieważne, czy panuje wojna, czy jest zawieszenie broni.

- Ja dobrze, a ty? - odparła mi szybko.

Zanim zdobyłam się na odpowiedź, ta na głowę włożyła mi mój słomiany kapelusz, który wcześniej leżał na stoliku. Nasze drogie słoneczko dba o mnie. Została dobrze wychowana i widzi to wyraźnie każde z nas. Poprosiłam, aby siadła obok mnie, przy tym stole. Wcześniej naszykowałam nakrycie, zadbałam o ładny stroik ze świeżych ziół, a także słodkie przekąski. Prezentowało się to ładnie, tylko na tyle mogę sobie pozwolić w tym czasie. Skromna biała serweta, zioła i upieczone maślane ciasteczka. Do picia podałam nam wodę ze studni. Tyle. A może aż tyle? Nie było wykwintnie, ale bardzo dobrze. Jeśli tylko jest ładna pogoda, siedzimy na dworze. Chcę, aby Juliet spędzała czas na słońcu. Przecież wiesz, że w Anglii częściej jest pogoda jak pod psem.

Księżniczka Juliet usiadła, owszem, sięgnęła po ciastko, cały czas zachowując pewien dystans. Brodę unosiła wysoko jak prawdziwa szlachcianka. Czy była smutna? Markotna? Nie, nie była. Taką miała zabawę, udawała dorosłą damę. Wyrasta nam pod dachem dzielna pannica, która nie chce więzić żywych istot! Siedziałyśmy tak chwilę w milczeniu. Warte podkreślenia - chwilę w milczeniu. Słyszałeś o jakimś zdrowym dziecku, które wytrzymuje w ciszy więcej

niż kilka minut? Ja chyba też nie, ale już wracam do opowieści. Nie musisz mnie poganiać. Patrzyłyśmy na zielone wzgórza i okalające je lasy. Słońce ciągle mrugało do nas z wysoka, ptaki śpiewały nam przeróżne melodie. Okolica wydawała się być zaczarowana, specjalnie chroniona od złych mocy, czarnych rąk wojny, całego powojennego bólu. Tylko ja i Julie. Bezpieczne.

Po spałaszowaniu ciastek poszłyśmy na łąkę razem. Leżałyśmy wyciągnięte na trawie. Jedna przy drugiej. W podobnych sukienkach, w prawie identycznych słomkowych kapeluszach. Zaplotłam jej warkocze, żeby było jej wygodniej. W końcu zapytałam się jej, co robiła będąc sama. Oczywiście, jako osoba, która spędza z nią mnóstwo czasu, wiem na jakie pomysły wpada nasze dziecko. Spodziewałam się więc nieco absurdalnej odpowiedzi. Julie nie wyczuła podstępu i szybko opowiedziała mi jak udzieliła ślubu dwóm mrówkom, Jerry'emu i Annie. No, to przerosło moje oczekiwania. Ledwo powstrzymałam się od śmiechu. Swoją drogą, bardzo chciałam zobaczyć twoją reakcję. Co ty byś zrobił Jonathanie, gdybyś się dowiedział, że obok twojego domu w Lancaster nasza córka robi takie, a nie inne rzeczy. Szukałbyś jej kolejnych par owadów gotowych do ożenku? Czy może z dumą wypisaną na twarzy twierdziłbyś, że projektujesz najlepsze suknie ślubne? Jak by to było, gdybyś tu był? Niełatwo jest mi to sobie wyobrazić. Mimo to jestem pewna, że nie byłbyś w stanie sprawić Julie przykrości i w wybraną przez siebie rolę wcieliłbyś się w stu procentach. Nawet w tego projektanta, choć oboje wiemy, że ani szycie, ani rysowanie nigdy ci nie wychodziło.

- Widzę ogromne pióro! - powiedziałam i wskazałam palcem córce biały obłok. Na błękitnym niebie było ich kilka, przesuwali je powoli wiatr.

- Mnie ta chmura bardziej przypomina uśmiech - odparła z lekką konsternacją na twarzyczce. Zaśmiałam się i dłonią pogłaskałam ją po jej ślicznej buźce. Często ma zupełnie inne zdanie, ale to dobrze. Musi mieć wpajane, że czasem należy mieć odmienne poglądy. I tak najważniejsze są empatia i chęć niewyrządzania krzywd innym. Nikt tu nie potrzebuje więcej wojen, musimy to tłumaczyć młodym. Julie spojrzała na mnie i znowu w jej uśmiechu rozpoznałam ciebie. Momentami wygląda jak twój sobowtór. Bezsprzecznie idealna kopia. Nie ukrywam, poczułam ścisk w gardle. Wiedziałam, że za chwilę łzy napłyną mi do oczu. Spojrzałam znów na niebo. Nie chcę, aby widziała jak płacze. Nie chcę aby też było jej smutno. Nie mam zamiaru pokazywać jej słabej siebie. Na pewno to rozumiesz.

- Mamo patrz - przerwała moje rozmyślenia - ta chmura przypomina kształtem smoka! - nagle krzyknęła rozbawiona. A ode mnie też odleciały złe myśli.

- Która skarbie? - zapytałam, bo nie byłam pewna czy patrzę akurat na właściwą.

- No tamta - wyszeptła przejęta i podniosła rączkę z wyciągniętym paluszkim do góry. Wskazała na obłoczek wiszący centralnie nad nami. Zaczęła tym palcem malować jakieś obrazy w powietrzu a głosem iście nauczycielskim wyjaśniała:

- Tu jest pysk, zamknięta paszcza, podłużna taka. Widzisz? - upewniła się czy jestem czujna.

- Tak Migotko, patrzę, mów dalej.

- No więc, dalej jest jego długa szyja, kolce, łapska i takie wielkie skrzydła - powiedziała trochę przeciągając - to bardzo ładny smok mamó! - dodała.

Och Jonathan! Przysięgam ci na wszystkie cuda świata, ja w tej chmurze widziałam tylko psa! Ani przez sekundę nie udało mi się dostrzec w tym białym puchu żadnego smoka, tym bardziej ładnego. Ale mała była nieugięta. Nadała mu imię Felix. Nasza rodzina powiększyła się tym razem o zwierzaka z krainy baśni, bo oczywiście Felix został zaadoptowany. Wprost fantastycznie, prawda? Osobiście uważam, że wypadałoby jeszcze "zatrudnić" u nas jakiegoś rycerza, który by mógł w razie ewentualnego buntu potwora, szybko go usunąć. Nie sądzisz, Jonathan?

Cały dzień byłyśmy blisko siebie. Juliet nie pozwoliła mi się nudzić ani przez chwilę. Miała główkę pełną ciekawych pomysłów, planów i pytań, a ja, jak to mama, musiałam szukać

na nie odpowiedzi. Obiad udało nam się zjeść na werandzie, potem zaczęło padać i schowałyśmy się w domu.

- Boisz się wojny mamusiu? - zapytała mnie wieczorem Julie. Odprowadzałam ją do pokoju, szykowałam do spania. Zadarła główkę do góry, żeby spojrzeć prosto w moje oczy. Wydawała się być taka poważna.

- Już nie ma wojny skarbie. Skończyła się - odpowiedziałam jej szybko. Być może liczyłam na to, że trochę się uspokoi, sama nie wiem.

- Ale bałaś się? - drążyła.

- Bałam się o ciebie.

- Dlaczego?

- Bo wojna to straszna rzecz i ginie przez nią wielu dobrych ludzi. Bałam się, że cię stracę i będę musiała zostać sama jak palec.

- I zginęłam? - zapytała przejęta.

- No nie głuptasie. Obie przeżyliśmy i trzymamy się razem - powiedziałam - już zawsze będziemy - dodałam.

- To dobrze?

- Najlepiej - stwierdziłam z pełnym przekonaniem.

- A tata?

- Co masz Migotko na myśli?

- Gdzie jest tata? On wróci, czy wojna go straciła? - zadała kolejne pytanie.

- Tata zginął, ale nie bez powodu. Twój tata walczył, żebyśmy byli razem i żeby wojny nie było - z trudem powstrzymałam płacz. Ona jest tak do ciebie podobna.

- To chyba dobrze - powiedziała, ciągle nie odrywając ode mnie wzroku.

- Bardzo dobrze.

- A tęsknisz za nim? - kontynuowała po chwili.

- Ja, tak... - wyznałam zgodnie z prawdą.

- To ja też - przekonała mnie.

Powiedziałam jej to samo, co powtarzam już od sześciu lat - „Twój tata jest teraz w niebie i stamtąd stale na ciebie patrzy i zawsze będzie cię bronił. Pamiętaj o tym, proszę.” Zbierałam się w sobie, aby opuścić jej pokój. Zajęło mi to chwilę. Każdego dnia mam opory. Chciałabym ją mieć cały czas na oku, nawet gdy śpi. W końcu podniosłam się, poprawiłam jej kołdrę i już byłam gotowa by przekroczyć drewniany próg.

- Wiesz co, Julie? - odezwałam się, zanim zamknęłam drzwi do jej pokoiku.

- Tak?

- Bardzo cię kocham - powiedziałam córce - najbardziej na świecie. Tata też cię kocha, jestem pewna.

- A ja kocham was - odpowiedziała i zasnęła. Była tak cicha i malutka.

Kolejny letni dzień mogę zaliczyć do udanych, bo dobrych, spokojnych. Przepętnionych tylko radością i miłością. Nie było w nim ani chwili trwogi, ani jednej sekundy zwątpienia w cokolwiek. Nie zastanawiałam się, czy aby na pewno tu, gdzie siedzę, jest bezpiecznie, bo jest, jestem o tym całkowicie przekonana. Przy Juliet nie sposób jest rozpamiętywać tego, co było złe. Wystarczy, że na mnie spojrzysz, od razu słońce świeci mi nad

głową. Wiem, że nie mogę Julie dać wiele, nie mogę nawet dużo, bo aż tyle nie posiadam. Kraj jest w kryzysie, jeszcze nie podniósł się całkowicie po wojnie. Ciągłe nie jesteśmy tak bogaci, jakbyśmy tego chcieli. Nie mamy dużo, ale nikt dzisiaj nie ma. Obiecuję ci tu i teraz, że dam naszej córce to, co mogę: matczyną miłość i troskę. Będę starała się zapewnić jej bezpieczeństwo, gdyby znów nad Anglią zawisły czarne chmury i nadeszły gorsze czasy. Przekażę jej moją wiedzę, umiejętności. Pozwolę jej rozwijać liczne pasje. Zarażę ją moją miłością do życia, do ludzi. Wpoję jej, jak ważna jest pomoc bliźnim, jak potrzebne dla istniejącego świata jest bycie dobrym i „wybieranie dobra” we wszystkich okolicznościach. Będę starała się za nas dwoje, Jonathanie. Obiecuję ci.

Bo ty obiecałeś, że wojna się skończy, że będę szczęśliwa i strzeżona przez ciebie i Boga. Że będę wolna. Że będę żyła w niepodległym kraju. „Wygramy tę wojnę” - powtarzałeś. Dotrzymałeś słowa. Oczywiście, że tak. Mało tego, że dałeś mi tę wolność i spokój, dałeś jeszcze największy skarb - Juliet, moją drogą kruszynę. Wiesz co? Kiedy siedzę wieczorami sama w pokoju, a Julie już słodko śpi, to czuję, że jesteś przy mnie obecny. Wracam wtedy myślami do tamtej nocy - ostatniej, którą spędziliśmy razem. Dostrzegam wszystkie szczegóły otoczenia jakbym ciągle, bez ustanku znajdowała się w tym samym miejscu. Widzę nas stojących naprzeciw siebie, patrzących sobie w oczy. Czuję twój dotyk, tak łudzaco przypominający ten sprzed lat. Siedzę na brzegu łóżka i wspominam ciepło twoich dłoni. Tak czule głaskałeś moją twarz i ramiona. Stałeś wtedy tak blisko, potem nie miałam cię już nigdy. Wyobrażam sobie, że siedzisz obok mnie. Próbuję stworzyć w mojej głowie taki obraz, że niby jesteś obok. Tak, jakbyś nigdy nie odszedł. Jakbyś nigdy nie walczył na froncie, jak gdyby nigdy nie było żadnej wojny. I wtedy czuję się „lepiej”. Choć nigdy „dostatecznie dobrze”.

Dzisiaj jest sobota. Tak, pewnie nic ci to nie mówi. Pozwól mi wyznać, co leży mi na sercu. Pozwól, że podzielę się z tobą myślą, która nie daje mi spokoju, jednocześnie zadając ból. Dzisiaj jest 1 sierpnia 1920 roku. Dokładnie tego dnia mija równo sześć lat od chwili, kiedy ostatni raz cię pocałowałam. Chcę pamiętać tę chwilę. Była magiczna. Zaraz po tym przyrzekłeś mi miłość aż do śmierci i słowa danego dotrzymałeś. Zawsze byłeś honorowy, nigdy mnie nie zawiodłeś. Byłeś za dobry, bym cię miała. Ja przyrzekam oddawać Juliet wszystko, dopóki tylko nie położą mnie martwej u twojego boku.

Kiedy skończyła mówić, na jej twarzy malował się dziwny grymas. Tylko ktoś bardzo spostrzegawczy mógłby wyczytać z niego konkretne, choć różne, niekiedy sprzeczne emocje. Kobieta zdawała się być nieskupiona na niczym i jednocześnie tak bardzo czymś przejęta, a także doszczętnie zmęczona wspomnianiem. Dokładniej mówiąc, rozpamiętywaniem bolesnych doświadczeń. Przetarła oczy mokre od łez. Przykucnęła przy jednej z mogił. Położyła na ziemi kwiaty - bukiet czerwonych róż. Ich krwawy kolor przypominał farbę sączącą się z rany postrzałowej żołnierza, który wydaje swój ostatni dech.

Po chwili podniosła się jednak. Szła powolnym krokiem w kierunku bramy. Jej głowa nie była uniesiona w górę, wprost przeciwnie. Jej wzrok bezustannie wbity był w ziemię. Przyodziana w czarny, strój powoli opuszczała plac cmentarny. Stary, angielski, trochę zniszczony kościółek wyglądał równie przygnębiająco i ponuro co nieduży cmentarz znajdujący się za nim. Dżdżysty poranek oraz czerń damskiej sukni potęgowały wrażenie, że wszystko dookoła kobiety jest równie smutne jak ona sama. Niepojęty żal, tęsknota i niedola wisały w powietrzu jakby liście na drzewach. Niebo płakało razem z Elizabeth. Dzisiaj młoda matka, samotnie wychowująca sześciolatkę, wdowa, przyszła w odwiedziny do męża, bohatera wojennego. On, Anglik dzielnie walczący z Niemcami podczas I wojny światowej, zginął na polu walki. Elizabeth chciała porozmawiać z nim jak przed laty. Przychodziła tu często, sama z rozerwanym sercem. Małżeństwem cieszyła się niespełna rok, bowiem w 1914 roku Jonathan został zwerbowany do

angielskiej armii. Wtedy po raz ostatni widziała go żywego. Miejsce samo w sobie przerażająco ciche, opuszczała głęboko zamyślona, nieobecna duchem. Ostatni raz odwróciła głowę by spojrzeć na miejsce, gdzie spoczywał jej mąż - mężczyzna, którego kochała najbardziej ze wszystkich na świecie. A na kamiennym nagrobku wyryty był napis: „Starszy sierżant - Jonathan Harris, żył lat 27, poległ 12 października 1916 roku w bitwie nad Sommą”.